

## Zbyszek



Foto: Zbigniew Sulima

Ta śmierć jest dla mnie ciężkim ciosem. Mój najbliższy przyjaciel - Zbyszek – dr hab. inż. Zbigniew Piotrowski, profesor AGH, zmarł nad ranem 10.10.2014 roku. Trzy dni później spoczął na cmentarzu w Starym Sączu. Żegnała go liczna delegacja wydziału, choć właściwiej były powiedzieć: przyjaciół z wydziału, różnego wieku i stanowisk. Jak przystało na górników wystąpiliśmy w mundurach górniczych, które tak lubił.

Poznaliśmy się 45 lat temu. On dyplomant realizujący badania do pracy, ja, uczestnik asystenckich studiów przygotowawczych. Spotkaliśmy się w laboratorium i od razu przypadliśmy sobie... i tak zostało do śmierci. Ale dłaczego przyszła tak szybko. Jeszcze w lutym, po Jego wymarzonej podróży do Sri Lanki (na starsze lata stał się obywatelstwem), wydawało się, że jest tak daleko. Pojawił się wprawdzie kaszel, ale tłumaczyliśmy go długotrwałym lotem w klimatyzowanej atmosferze. Snuliśmy kolejne plany „odpadowe”. Niestety, tomograf potwierdził najgłębiej skrywane podejrzenia - nowotwór. O życie stoczył heroiczną walkę. Wierzył w jej powodzenie prawie do końca i dalej żył pracą. Trzy dni przed śmiercią, kiedy wypowiadanie

słów sprawiało mu kłopoty pytał: „jak rozpoczął rządu nowy kierownik katedry?” bo akurat nastąpiła zmiana na tym stanowisku. Choć z drugiej strony trzeźwo i na spokojnie kalkulując różne możliwe warianty („wiesz, nie walczę o życie, wszyscy umrzemy, walczę o długość życia”) kilka tygodni przed śmiercią zaczął najbliższych przygotować na najgorsze. Ustalił również co ukochany syn ma powiedzieć wygłaszając zwyczajowe podziękowania po „ostatnim zjeździe”. Postawił mu (jak zwykle) trudne zadanie.

Profesor Zbigniew Piotrowski z urodzenia był lublinianinem. Do tego miasta zachował uczucia do końca. (Trzy miesiące przed śmiercią żegnał go w sentymentalnej podróży). Po ukończeniu szkoły podstawowej przyjechał do Krakowa, gdzie ojciec dostał pracę. Tu uczęszczał do liceum (VIII, im. Stanisława Wyspiańskiego). Miał szczęście trafić na wspaniałą „zestaw” kolegów. Wielu z nich porobiło tak zwane kariery (aktor, krytyk teatralny, biznesmen, naukowiec – lekarz, ...) i zostali po latach ludźmi „z pierwszych stron gazet”. Zbyszek mówił o nich z nieskrywaną radością: „to mój kolega, przyjaciel” i natychmiast pojawiała się opowieść z lat szkolnych. I był z nich dumny, bez cienia zazdrości.

Po zdaniu matury z jednym z kolegów postanowił zostać wiertnikiem. Kaprys (a figlarzem w liceum był nieprzeciętnym) czy marzenie o życiu „w drodze”, na wiertniach, które oglądał podczas wycieczek, bo wędrowka była jednym z pierwszych Jego zamiłowań. Tak trafił na Wydział Górniczy AGH. Po praktyce robotniczej odbytej w kopalni bytomskiej postanowił jednak zostać górnikiem. Ubawiło go gdy w czasach przełomu lat 80. wyczytał na ścianie budynku maszyny szybowej w kopalni Brzeszcze napis: „mamo, ja nie chcę być górnikiem!” „Kiedyś miało się odwrotne marzenia” – skomentował. Jak całe późniejsze życie, jak się do czegoś zapalił to na 200%. Zostawszy górnikiem, w trakcie nie zawsze ciekawych studiów wciągnął się działalność koła naukowego. Szczególnie zainteresowała Go praca w laboratorium. Po latach będzie jednym z najlepszych w projektowaniu badań własności mineralnych materiałów odpadowych, w interpretacji ich wyników. Ostatnie zajęcia ze studentami to właśnie laboratorium

z zagospodarowania odpadów wydobywczych i energetycznych. A przecież miał już etat profesora i do laboratorium mógł „posyłać” innych.

Kończąc studia pracę dyplomową wykonuje pod kierunkiem doc. dr inż. Karola Drzewieckiego. Ten wykorzystując zdolności manualne dyplomanta zleca mu oryginalny temat oparty o badania laboratoryjne. Ich wyniki opublikowaliśmy wspólnie. Była to pierwsza publikacja z całej serii pisanych potem razem przez bez mała 45 lat. (Wracając wspomnieniami do tamtych czasów myślę - czy mu się dopisałem? Czy pomoc i mój wkład zasługiwał na współautorstwo? Pomysł był Jego).

Po studiach, doceniając zdolności świeżo upieczonego mgr. inż. Jego promotor, wspólnie z dyrektorem instytutu zaproponowali mu asystenturę. Nagatywna opinia grupowego instytutowego pewnej organizacji, zablokowała drogę naukową. Dzięki sympatii jaką podczas życia studenckiego zyskał u starszego kolegi - Tadka Popardy - „załapał się” do tworzonego wtedy przez niego Ośrodka Badań Naukowych i Współpracy z Przemysłem AGH. Po kilku latach zostaje zastępcą kierownika. Można by rzec - zrobił karierę urzędniczą. O pracy w tamtym ustroju, w fasadowym (w dużej mierze) dziale uczelni, potrafił opowiadać godzinami. Poznał wielu naukowców różnego formatu. Poznał sposoby pozyskiwania przez nich środków, metody uzyskiwania nagród. Najciekawsze w Jego opowieściach były te, które szczegółowo relacjonowały jakimi metodami utytułowane osoby zabiegały o życzliwość małego urzędnika, który miał jeden walor, mógł wpłynąć na przydział środków. Na spisanie tamtych wspomnień dał się jednak namówić, a szkoda.

Będąc urzędnikiem pozostał wierny badaniom laboratoryjnym. W ramach „gospodarstw pomocniczych”, w swym dyplomującym instytucie, uczestniczył w realizacji pierwszego, z długiej serii, tematu odpadowego. On spędzał długie godziny w laboratorium określając właściwości próbek podsadzki a ja, po interpretacji, wykorzystałem je jako fragment swej dysertacji doktorskiej. I tak zacieśniała się nasza współpraca. Potwierdziła wcześniejsze doświadczenia, Zbyszka i wyników uzyskanych przez niego w laboratorium mogłem być pewny.

Kiedy w 1980 roku, podczas reformy struktur AGH ograniczano centralę OBR-u, Zbyszkowi udało się trafić do siebie, czyli macierzystego Instytutu Górnictwa Podziemnego. Tu jako pracownik techniczny, w rok zbudował wspaniałe laboratorium dydaktyczne dotyczące eksploatacji soli. Rozwinął również skrzydła naukowca. Były to lata kiedy w energetyce problem odpadów stał się palącym. Wspólnie z pracownikami Okręgu Energetycznego w Katowicach podjęliśmy działania nad wprowadzeniem popiołów do kopalń. Nie było łatwo, bo po niepowodzeniach lat 50. temat był tabu. Na szczęście znaleźli się entuzjaści i decydenci, których przekonały udziały w patencie, który uzyskaliśmy. Temat poszedł do wdrożenia. Z jakim drżeniem serca i umysłu czekaliśmy na efekty pierwszej próby technicznej. Pamiętam jak w Kopalni Generał Zawadzki pędziliśmy na wyścigi do chodnika zlokalizowanego 90m pod ziemią by zobaczyć jej efekty. Wspólne publikacje (do których niestety trzeba było dopisać przełożonych i dyrektorów - oni zapewniali przychylny układ) dokumentowały te wydarzenia. Sypnęły się nagrody, w tym wysokich szczebli (to zasługa przełożonych, bo oni...). W każdej z nich był Zbyszek mimo, że formalnie był wtedy skromnym pracownikiem technicznym - specjalistą.

W sierpniowych czasach stanu wojennego nie wytrzymał i wyjechał do Kanady. Tam nabył umiejętności wypiekania pizzy. Jednak tęsknił do syna, żony, pracy, przyjaciół i po ponad roku - wrócił. Ja w tym czasie zrobiłem habilitację.

Przyszły dla nas „złote czasy”. Temat - popioły do pustek podziemnych - rozrastał się o nowe materiały i technologie. Robiliśmy liczne wdrożenia w kopalniach polskich i trochę zagranicą. Poraz pierwszy wyjechaliśmy służbowo „na Zachód”, do RFN-u. Tam w Hamburgu dyskutowaliśmy o możliwościach mieszania „dziwnych” odpadów z polskimi popiołami i wprowadzeniu ich do naszych kopalń. Niestety chciano nas „wpuścić w maliny”. Z tego wyjazdu utkwiła mi w pamięci Jego propozycja kierowana do ONZ-tu. „W każdym kraju decyzją Zgromadzenia Ogólnego ONZ powinien być okresowo wprowadzany socjalizm w sowieckim wydaniu”. Wieszczył, że miesiąc tego ustroju wystarczy by padła gospodarka Szwajcarii. Dla RFN-nu by osiągnąć ten skutek zapotrzebowywał 3 miesiące. Staliśmy się ekspertami KOPEXU, który próbował sprzedawać polski pomysł na odpady. Jeździliśmy na Węgry, do Czechosłowacji, robiliśmy badania na zlecenie Kanady. Tu i ówdzie się udało pozytywnie „zapre-

zentować polską myśl techniczną”. Zbyszek był w swoim żywiole. Było co badać i opisywać. Podczas przewożenia z Węgier materiału do badań nabawił się zakrzepowego zapalenia żyły a w efekcie zawału. Pod troskliwą opieką żony szybko się pozbierał bo wraz ze zmianą stroju pojawiły się nowe możliwości, projekty badawcze, a zwłaszcza celowe. Konstruując zespoły uczelniano przemysłowe, zostając ich kierownikiem udało mu się wdrażać ciekawe rozwiązania w wielu kopalniach. Patrzyłem na niego z podziwem. Role się odwróciły. Ja w tym czasie będąc urzędnikiem mogłem mu tylko kibicować, choć (przecież nie z kurtuazji) o badaniach, wynikach, efektach, dyskutowaliśmy wiele godzin.

Wiele przegadanych chwil i wreszcie dał się namówić na doktorat, „oczywiście” mego promotorstwa. Zajął się w nim, a jakże, zastosowaniem w kopalni nowych odpadów, a w szczególności, nowym (wtedy) ich rodzajem, odpadami z odsiarczania spalin metodami półsuchymi. Na doktorat namówić było go ciężko bo nade wszystko cenił wiedzę i kompetencję (nie papier), a o wartości (u niektórych) stopni i tytułów miał wyrobione zdanie z czasów urzędniczych. Tak zostałem Jego wychowawcą. Po latach, przedrzeźniając z mego pokoju „wystawę” zdjęć moich wychowawców, nad własnym biurkiem powiesił fotografie „swojego profesora” (czyli moją). Bardzo był dumny z tego (jednak) dowcipu. Wszystkimi odwiedzającym prezentował ją z figlarnym uśmiechem.

Robiąc doktorat w 1998 roku Zbyszek podejmuje etat adiunkta. Okazuje się, że opowieści niegdysiejszych uczestników korepetycji (udzielał ich z matematyki na studiach i w czasie urzędowania) o Jego wspaniałych zdolnościach dydaktycznych nie były przesadzone. Świetnie pracował z młodzieżą, umiał ją zainteresować nawet dziwnymi zagadnieniami (np. „czystsza produkcja”). Umiał też wyłuskiwać z pośród młodzieży tych zdolnych, nadających się do pracy w uczelni. Tak zaczął tworzyć załóżki swojego zespołu.

Prowadził ożywioną współpracę naukową z Instytutem Mechaniki Górotworu i Instytutem Gospodarki Surowcami i Energią PAN, z Głównym Instytutem Górniczym, Politechniką Śląską, z wieloma firmami i kopalniami. I tam pozyskuje przyjaciół i współrealizatorów ciekawych pomysłów (np. problem możliwości dostarczania do podziemnego ogniska pożarowego CO<sub>2</sub> przy wykorzystaniu strugi transportowanej rurociągami zawiesziny popiołowej). Pojawiają się monografie, ma swój udział w zespołowej nagrodzie im. Czczota.

Mijają lata. Gromadzi własne publikacje i wiedzę. Daje się namówić na starania o projekt badawczy sumujący doświadczenia polskiego górnictwa ze stosowaniem zawieszin. Nikt inny nie zna problemu lepiej, nikt lepiej go nie zrealizuje. Po jego zakończeniu zaczynamy podchody. „Zbyszek, masz 60-kę, najwyższy czas podsumować życie naukowca habilitacją”. I teraz jak przy doktora-cieociąga się: „co to zmieni, czy przybędzie mi od tego rozumu?” – pyta. Do końca nie jest pewien „czy to co napisałem jest na odpowiednim poziomie”. Pobłażliwy dla innych, wymagający od siebie. Zasięga opini u kolejnych przyjaciół. Te, z choćby drobnymi uwagami krytycznymi, podsycają Jego rozterki: „czy jednaknie dać spokoju”. Na szczęście naciski ze strony paru „autorytetów” odnoszą sukces. Z prawie dwuletnim poślizgiem się składa wreszcie pracę (wydana w Archiwum Górniczym) i wszczyna przewód. Kończy go w 2011 roku sukcesem, jakże inaczej! Stabilizuje się na ostatnie lata pracy. Nie spoczywa na laurach, bo pojawiają się nowe odpady (choćby popiół ze spalania osadów ściekowych), znajduje doktoranta, otwiera mu



Foto. Zbigniew Sulima

przewód. Nie jest mu dane go dokończyć, mimo że do końca interesuje się postępami w badaniach. W życiorysie naukowca, w rubryce - ilość wypromowanych doktorów - pozostało „0”, bo przychodzi luty bieżącego roku.

Naukowca (czy słusznie?) ocenia się dzisiaj głównie przez pryzmat „punktów za publikację” i „cytowań”. Rezygnuję z tego świadomie, choć i w tym rankingu Zbyszek wypada dobrze (ciekawych odsyłam do stosownej informacji naukowej). Pisząc o naukowcu, oceniając go powinno się jednak więcej uwagi poświęcić odpowiedzi na pytanie jakim jest człowiekiem. Więc co nieco o tej stronie Przyjaciela. Zacznę od zdarzenia z mego życia. Miałem ten zaszczyt i przed laty poznałem rodzinę wybitnego otolaryngologa, profesora Jana Miodońskiego. Któreś z Jego dzieci, opowiadając o ojcu, przekazało mi odpowiedź jaką na pytanie: „jak wyglądała habilitacja przed wojną” udzielił twórca krakowskiej szkoły otolaryngologii. Brzmiała ona mniej więcej tak: „Też było kolokwium, ale na nim nikt nie sprawdzał wiedzy habilitanta z zakresu dyscypliny, którą reprezentował. Było nie do pomyślenia by o habilitację starał się ignorant. Pytano co ostatnio przeczytał, jak ocenia ostatnią premierę teatralną czy muzyczną, co sądzi o aktualnie diskutowanych problemach filozoficznych. Po prostu sprawdzano, czy z uwagi na kulturę osobistą i wiedzę ogólną kandydat może być dopuszczony do grona profesorskiego”. Tak, profesor Zbigniew Piotrowski w pełni zasługiwał na to by wejść w ten zakłęty krąg! Osobistą kulturą, wiedzą ogólną a i (co tu dużo mówić, patrząc na dzisiejsze czasy) manierami – w pełni zasługiwał na zaliczenie do (nie bójmy się tego słowa) elity naukowej. Na dodatek wrodzony dowcip sprawiał, że szybko zyskiwał sympatię, stawał się duszą towarzystwa, zyskiwał przyjaciół. I od tej strony Jego osobę zapamiętało wielu uczestników konferencji i seminariów, a także spotkań towarzyskich.

Miał w życiu kilka pasji, które dzielił z pracą. Uprawiając je i tu zyskiwał przyjaciół z różnych środowisk (czego dowiodły tłumy na pogrzebie). Kiedyś laził po górach, łowił ryby i pływał kajakiem. Ostatnio „tylko” grywał w tenisa, jeździł na nartach i żeglował. Żeglarstwo było Jego największą miłością. I w nim poniósł klęskę. Pomimo dwukrotnych prób na Wielkich Jeziorach nie udało mu się przekonać mnie do takiego spędzania czasu. Nie mógł mi tego darować. Żeglarstwu pozostał wierny do końca. Z jeziorami (choć już tylko z brzegu) żegnał się z początkiem sierpnia. Dzwonił, opowiadając o nowych doznaniach. To kolejna (po Lublinie) „podróż sentymentalna”. Kochał literaturę i muzykę, tę poważną i tę trochę mniej. Na wszystko nie starczało mu czasu. Bo jeszcze nade wszystko starał się pomagać innym. Tekst ten to może nie miejsce by opowiedzieć jak latami wspomagał przyjaciela dotkniętego przedwcześnie chorobą Alzheimera. Jak dopingował do życia drugiego, z trudem po zawale i kilkutygodniowej śpiączce, wracającego do normalności. To tylko przykłady z ostatnich lat.

Pora kończyć. Zbyszku, wiem, że czytając ten tekst nie byłbyś zachwycowny tym, że go publikuję. W życiu zawodowym wolałeś bardziej byćw cieniu niż na świeczniku. Dlaczego więc to robię? Ano dlatego, że czytając napisane przeze mnie wspomnienie o naszym „szefie”, panu docencie S. Ropskim, pochwaliłeś mnie, też uważając, że za szybko zapominamy o tych co byli przed nami, o ich wkładzie w Uczelnię. Nie dokumentujemy choćby szkicówżyciorysów byłych pracowników. (Od wielu lat, niestety bez efektów, próbuję namówić władzę, by z okazji Wszystkich Świętych wydawać specjalny numer biuletynu AGH, w którym zamieszczano by wspomnienia o tych, co odeszli w minionym roku. Tworzyłyby pisane dzieje ludzi uczelni). W pamięci następnych pokoleń, w historii uczelni, zostają tylko ci, którzy trafili na tablice zasłużonych. A przecież naukę tworzą, a nade wszystko kształcą i wychowują młodzież, przede wszystkim ci z drugiej linii. „Skromni pracownicy w winnicy nauki” (parafrazując Ojca Świętego - Benedykta XVI). Pozwól więc, że zaliczywszy do nich i Ciebie, zaadresuję te wspomnieniao młodych. Tych, na których spada odpowiedzialność za nasze jednostki. W uczelni trwa wymiana pokoleń. Tę w kierownictwie twojej katedry (ostatnia informacja jaką o niej usłyszałeś), akceptowałeś, jednak z pewnym ale. Dotyczyło obaw o kierunek w jakim zmiana będzie prowadzić. Wierzę, że w wyborze przez naszych następców tej drogi, Twój wzór na coś się przyda.

Prof. dr hab. inż. Maciej Mazurkiewicz

*Tekst wcześniej opublikowany w numerze 82/2014 Biuletynu AGH*